

Siedem dni w Puerto Vallarta

16 listopada 2017

NIEDZIELA

Zawsze lubiłem konferencje naukowe. Pierwszego dnia cocktail, drugiego dnia trzeba wprawdzie pokazać się na obradach, ale poza tym czas wolny, a wreszcie przedostatniego dnia bankiet. Jak się nie ma brzucha, to na cocktail można nawet w dżinsach, tweedowa marynarka jest OK dla każdego, garnitur raczej dla starszych panów. Ale na bankiet to w garniturze. A obecna konferencja jest szczególnie atrakcyjna – Meksyk, piękne Puerto Vallarta, wiosenny Pacyfik.

Więc życie powinno być piękne, ale... ale dobiegam pięćdziesiątki, a w tym wieku mężczyzna zaczyna zastanawiać się nad sensem życia. A jak już człowiek zacznie, to i w raj, w rajskim ogrodzie usterkę znajdzie, powie choćby, że co to za rajskie security, jak ktoś takiego wrednego węża do ogrodu wpuścił. Rada dla pięćdziesięciolatka jest jedna: Znajdź sobie bracie jakieś wyzwanie, znajdź coś męskiego, coś co pobudzi twoje emocje. I życie znów będzie piękne.

Więc tę konferencję rozplanowałem sobie pod tym właśnie kątem – będzie trochę kontaktu z nauką – bo tak wypada, ale przede wszystkim będą loty paralotnią.

– Tego mi potrzeba – orlich lotów – szykując się do wyjazdu powiedziałem żonie Elizie. Stojąc z parą skarpetek nad moją walizką Eliza nazwała mnie swoim malutkim dzielnym gagarinkiem.

Plany, planami, a tu raptem konferencyjne morderstwo. Wczoraj, czyli w sobotę, późnym wieczorem, po moim pierwszym paraloście i po koktailu. Zbrodnia dopiero co, wciąż jeszcze te pierwsze 48 godzin po. A więc trop mordercy jest jeszcze świeży, wydarzenia nie zatarte w pamięci świadków. Policja nie śpi, ponagla się laboratorium, przeszukuje się bazy danych,

rozpytuje linie lotnicze. Właśnie – w taki sposób biegnie akcja w każdym kryminalnym serialu.

Ale nie tak się dzieje w Meksyku. Rankiem po morderstwie obaj detektywi, ten Rodriguez i ten Tierra są wyspani, mundury, przypominające zresztą uniformy portierów hotelowych, świeżo odprasowane. Pytają mnie o czym wczoraj, o godzinie w przybliżeniu dwudziestej pierwszej czterdzieści pięć, rozmawiałem z profesorem Kułaginem, rozmawiałem głosem podniesionym. Tak bardzo podniesionym, że wszyscy słyszeli. A ciało Kułagina znaleziono o dwudziestej trzeciej piętnaście. Od tej awantury nikt już Kułagina żywego nie widział. Kułagin jest, to znaczy był, z Białorusi. A wiemy, sprawdziliśmy, że Białoruś sąsiaduje z pańską ojczyzną – z Polską. Czy może znał pan profesora Kułagina przed tą konferencją historyków tutaj w Puerto Vallarta?

Znałem, znałem, oczywiście, że znałem. Siedzę z wyelegantowanymi detektywami w patio obok hotelowej plaży, twarzą zwrócony w stronę lazurowego oceanu. Po lewej i po prawej, jak okiem sięgnąć, ciągnie się szeroki pas upstrzonego hotelowymi parasolami słonecznymi drobniutkiego, jasno żłocistego piasku. Obok patio przechodzą z ręcznikami zdążający na plażę goście hotelowi: Spieszno im do ich parasola i do porannej plażowej marguerity. Na plaży, parędziesiąt metrów w lewo, widzę Antonia stojącego jak codzień z głową podniesioną do góry i z czerwoną poduszkową poszewką w prawej ręce. Przenoszę wzrok na taflę oceanu i tak, zgadza się, łódź Joaquina, partnera Antonia już tam jest; łódź jest tylko ciemniejszą plamką na tle lazuru, druga większa plamka wysoko nad łodzią jest kolorowa – to spadochron – paralotnia z klientem spółki Joaquina i Antonia. Liny holującej paralotnię za łodzią nie widać, ale wiadomo, że jest.

Detektyw Rodriguez coś mówi, ale myślami jestem wciąż tam, gdzie za czterysta peso spółka oferuje piętnaście minut idealnego spokoju w przestworzach. Takiego męskiego spokoju.

Spokoju po przezwyciężeniu stresu przy starcie, kiedy to rozpięty spadochron podrywa cię podbiegającego w powietrzu. W tym przezwyciężeniu pomaga Antonio, który przed startem z małego kieliszka, zwykle dyndającego na taśmie wokół jego szyi, podaje klientowi pięćdziesiątkę tequili. Bardziej przestraszonym klientom Antonio od razu serwuje dolewkę.

Detektyw Rodriguez zauważył, że go nie słucham, chrząka, podnosi głos. Odrywam wzrok od oceanu. Tak, mówię, patrząc na leżącą na stoliku bogato zdobioną policyjną czapkę, różnił się z Kułaginem w poglądach na historię środkowej Europy. Detektyw Tierra kiwa głową, przesuwając kciukiem po równiutko przyciętym wąsie – tak, tak, my też inaczej widzimy historię Ameryki niż nasz północny sąsiad. A co też pan robił później?

Byłem w swoim pokoju, przeczytałem i odpowiedziałem na mejle, spojrzałem na wiadomości z Polski (zielona wyspa, proszę panów detektywów). Potem zainteresowałem się teorią lądowania na spadochronie – od pierwszego paralotu na sprzęcie spółki Joaquin–Antonio fascynowała mnie czerwona poszewka w rękach Antonia. Relacjonuję detektywom instrukcje Antonia.

– Señor – mówił Antonio – jak już lądujesz i macham tym – tu Antonio podtykał mi poszewkę pod nos – macham tym z lewej strony to ciągnij tę linkę – Antonio szarpał lewą linkę uprząży – a jak z prawej – to prawą.

Mówię, że wczoraj, w sobotę, podczas pierwszego lądowania spóźniłem się z pociągnięciem linki bo zagapiłem się na hotelowy parking gdzie zajechał właśnie nowiutki, czerwony kabriolet mercedesa. O mały włos nie wpakowałem się w plażowy parasol. Mówię, że w pokoju pracowałem na swoim laptopie, łatwo sprawdzić czas wysyłania mejli.

Rodriguez, starszy z tej dwójki, tak jakby nie kojarzył o czym mówię. I to nie dlatego, że angielski to jego drugi język. Młodszy, Tierra może i wie o co chodzi, ale mam wrażenie że obaj są niekompetentni. Jeśli już przyjdzie im do głowy jakiś

pomysł, to na pewno zły.

PONIEDZIAŁEK

Siedzę na obradach i zamiast słuchać wykładu myślę o morderstwie Kułagina. Detektywi sugerują narkotykowe porachunki. Kułagin zginął uciekając, niedaleko tego pięknego czerwonego mercedesa. A więc i w tym eleganckim otoczeniu, wśród czekającej na każdą zachciankę służby też można zginąć. Czyli ja też mogę zginąć nawet nie wiedząc że umieram, bo jakżeż bym ja delikacik, ten co zamawia przesłodzony coctail Piña Colada, miał coś takiego pomyśleć. Chociaż nie delikacik. Przecież zabrałem się za paralotnię – jest tu trochę ryzyka, a więc nie taki ze mnie delikacik. Delikacik to taki, co w moim wieku uczy się grać na ukulele.

Popołudniu dzwoni detektyw Rodriguez. Przypomina mi niewspomnianą detektywom sobotnią wizytę w barze. Jeszcze przed morderstwem, albo podczas. Tak, po awanturze z Kułaginem dla uspokojenia wypilem w hotelowym barze coctail Piña Colada, i jeszcze poprawilem coctaiłem Bombay martini z trzema oliwkami (zawsze albo trzy albo jedna, nigdy ilości parzystej – pouczał mnie przyjaciel, z zawodu barman). Detektywa niepokoi ta informacja. Pewnie dlatego, że także dla niego Piña Colada to przesłodzony drink kobiecy, albo też, że dawno nie słyszał tak idiotycznej informacji jak ta o oliwkach, lub dlatego, że nie wspomniałem o barze, a więc jestem niewiarygodny. Jak tak, to zaczynam bajdurzyć o wszystkim co pamiętam. Opowiadam, że pod wycieraczkami czerwonego mercedesa utknęła niesiona wiatrem strona gazety, próbuję zacytować jej hiszpański tytuł. Aha, i jeszcze rozmawiałem przez Skype'a ze swoją żoną Elizą.

Zobowiązuję się nie wyjeżdżać z miasta bez uprzedniego zawiadomienia policji. Zanudzony detektyw wyłącza się, a ja do kolacji zamawiam sobie znów Piña Colada. Właśnie Piña Colada, bo żaden wyelegantowany detektyw nie będzie mi spoglądał zezem na to co ja robię. A wogóle ta dwójka jest jak para stójkowych

ze studenckiego kabaretu, tych, którym przy sadzeniu krzaczków w żywopłocie trzeba było przypominać, że zielonym do góry.

Popijając wracam do morderstwa Kułagina. Kułagin. Zginął Kułagin, została żona z dziećmi, a tu o nich ani odrobiny emocji, tylko o sobie, zawsze tylko o sobie. Chyba naprawdę narcyz, delikacik. Dosyć tego. Odstawiam szklanę z coctaiłem i zamawiam podwójną wódkę.

Kułagin, chudy mikrus, z popowską, hodowaną latami brodą, z blond żoną. Z Kułaginem spierałem się od momentu poznania, jakieś chyba osiem lat temu. O wszystko. O Unię Lubelską, o Witolda, Kościuszkę i tak dalej i tak dalej. Ten krzywy uśmiech Kułagina, kiedy wspominał Radziwiłłów. Może dlatego zginął, że z Białorusi. Odcięta od Europy Białoruś z niewiarygodnym, niebotycznym kursem dolara. Każdy grosz zarobiony czy wykombinowany na zachodzie liczy się tam dziesięciokrotnie. A jak zarabia brodaty, nieznośny w dyskusji historyk? Kombinuje. Aha. Porachunki. Zaraz, zaraz. Czy to nie Kułagina widziałem z góry, z lotni? Wtedy, kiedy lądowałem, kiedy zamiast ciągnąć linkę gapiłem się na tego czerwonego mercedesa. Tak, to był on, przy otwartym bagażniku. Kułagin z mercedesem? Chyba z wynajętym. To jakaś duża, duużka kombinacja. Trzeba pomyśleć, dobrze pomyśleć.

Podpity kieruję się na parking w stronę czerwonego mercedesa. Próbuje drzwi samochodu, nachylam się nad maską, sięgam do wciąż sterczącego spod wycieraczek skrawka gazety i przewracam się o coś, czego dla podpitego człowieka w porze nocnej nie powinno być. Ale jest. To ledwie widoczna w świetle odległej latarni betonowa belka. Dotąd opierały się o nią przednie koła mercedesa, a teraz pod naciskiem mojej stopy przesunęła się o parę centymetrów. Podnoszę się, sprawdzam stan ubrania, przebierając w śmieciach, wybierając wszystko co metalowe, zbieram monety które przy upadku wysypały mi się z kieszeni, przesuwam belkę z powrotem na jej miejsce. Coś mi za dużo brzęczy w kieszeni – aha, poza monetami podniosłem jeszcze dwa kluczyki. Podchodzę bliżej latarni, dostrzegam na licach

kluczyków czarne mazakowe bazgroły.

Wracam do baru. Jeszcze jedna wódka. Umiarkowanie, umiarkowaniem, ale przecież jest morderstwo, są kombinacje Kułagina. Jakie? Pieniądze – przewóz trefnych pieniędzy między Europą a Ameryką, w którąkolwiek stronę. To najbardziej prawdopodobne. Taki przewożący nazywa się muł. Mój drink się kończy, a ja zastanawiam się na ile moja sytuacja różni się od sytuacji Kułagina. Przez lata odchodzenia od komunizmu jak każdy naukowiec biedowałem, cierpiałem. Co bym zrobił, gdyby dziesięć lat temu zaproponowano mi udział w gangu? A gdyby teraz? Teraz mam się nieco lepiej. Ale nie tak dobrze jak ten, co jeździ maybachem, rezyduje w Palm Beach, czy na francuskiej Riwierze, albo ma prywatną wyspę. Bo są tacy, co po tych kilkunastu latach przemian mają się aż tak dobrze. Bo oni kiedyś tam, w rozmowie z kimś tam, powiedzieli dobrze, zgoda, stuprocentowa zgoda, zrobię to.

A dla mnie pozostaje paralotnia na lince. A może ukulele. I tyle, kochany pięćdziesięciolatek. Uśmieć się można. Kiedyś, dawno, dawno temu należało wybrać sobie inne życie.

WTOREK

Rano przed obradami dzwoni telefon – to Madeleine – sekretarka konferencji i zarazem żona szefa konferencji – profesora Temple. Odpowiada za publikację materiałów konferencji. Chodzi jej o referat profesora Kułagina. Będzie opublikowany z czarną ramką i pośmiertną notką. Ale choć referat jest po angielsku, to kilka ołówkowych poprawek Kułagina jest cyrylicą. Materiały będą drukowane jutro, cyfrowo, to idzie piorunem. A język znasz, bo to albo rosyjski, albo białoruski (lubię ją, ona też lata lotnią, ma świetną figurę i jesteśmy już na ty). Proszę Cię, pomóż, przetłumacz, referat Kułagina jest w recepcji w skrytce z Twoim numerem – tam są skrytki dla każdego pokoju. Już odkładam słuchawkę, kiedy Madeleine mówi – ten Tierra pytał się o ciebie. I zmiana – zamiast bankietu będzie Fiesta Mexicana – jutro.

Schodzę do recepcji. Dopiero teraz, idąc wzrokiem za odwracającą się do tyłu recepcjonistką zauważam, że to co wydawało mi się ścianą jest ogromną metalową szafą podzieloną na oznaczone numerami pokojów skrytki.

W pokoju czytam referat z cyrylicowymi poprawkami Kułagina. No tak, oczywiście, znów bym się z Kułaginem pokłócił, tym razem o cały osiemnasty wiek we wschodniej Europie. Ale to jego referat i obowiązuje mnie uczciwość naukowca. Skrzętnie odcyfrowuję ołówkową cyrylicę. Nie rozumiem jednej z notek Kułagina, może to numery stron i symbol źródła, ale nigdzie w referacie nie ma do niego odniesienia.

Zamyślony sięgam ręką do kieszeni marynarki, gdzie przewraca się to, co wczoraj podniosłem spod mercedesa. Dłoń natrafia na dwa znalezione wczoraj pod betonową belką jednakowe kluczyki. Z kluczykami w ręku zastanawiam się. Te bazgroły na kluczykach – to są numery. Co się numeruje? No, skrytki takie jak tu w recepcji, na lotniskach, na dworcach i sejfy w bankach. Olśnienie. Przecież numery są takie same, jak te w notce Kułagina, tam gdzie napisał cyrylicą Аэро. Sprawdzić notkę, szybko, szybko, z pulsem w galopie. Tak, takie same, 123 i 234. Ale jeszcze jest kropka po numerze 234. A to jego Аэро to skrót od aeroport – czyli lotnisko. Dziesięć głębokich oddechów. Jeszcze raz dziesięć. Był kiedyś taki film: Olśnienie. A może: Iluminacja. Nie pamiętam. Tylko że w tym filmie nie było morderstw. I bohater nie był podejrzanym. A tutaj są ci komediowi detektywi. Coś powiem i przyssają się głupole do ich jedyne go tropu – czyli do mnie. A jeśli są skorumpowani – to już boję się pomyśleć co może być.

– Narazie będę milczeć – decyduję.

Ale przecież wiem gdzie szukać. Kusi mnie – a może spróbować. Może pojechać na lotnisko i zajrzeć do tych skrytek? Ale nie, nie. To niebezpieczne.

Podwójna wódka i zaraz na plażę do Antonia – na parolotnię i

piętnaście minut powietrznego spokoju. Potrzebuję go. Antonio jest zaniepokojony:

– Señor. Detektyw Tierra pytał się o pana. I o Madeleine. On pana nie lubi. A on jest – Antonio szuka słowa, w końcu przeciąga, tak jak na gangsterskich filmach, dłonią po szyi.

– No good – podpowiadam. Antonio kiwa potakująco głową i dodaje:

– Ale Madeleine pana lubi.

Ten spokój w powietrzu jakoś mi umyka. Najpierw myślę o Madeleine. Lubimy się. Lubimy się coraz bardziej. Nawet Antonio to zauważył. A nie powinniśmy. Z tą niewygodną konstatacją przechodzę do spraw egzystencjalnych. Dyndam tu na sznurku w powietrzu – ja, sterowany czerwoną powłoczką, malutki dzielny gagarinek. Myślałem, że to coś męskiego. Czyżby? Bardziej niebezpieczny może być natrysk z za gorącą wodą. Kup sobie ukulele, mięczaku.

Ląduję wściekły, ale z gotową decyzją. Mam dwa kluczyki do dwóch bagażowych skrytek na lotnisku, skrytek w których może być coś, albo może nie być nic. Rzucę losowi wyzwanie, wybiorę kluczyk z numerem 234. Będzie to mój klucz do świata ryzyka, tam gdzie szpanują bankierzy, politycy, narkotyki i rosyjska mafia. Dlaczego akurat ten? Bo w notce Kułagina ten numer zaopatrzony był kropką. Nie wiem co ta kropka może oznaczać, ale zdecydowałem.

Trochę czasu zabiera mi usunięcie odcisków palców z tego drugiego kluczyka. Idę na parking, sprawdzam, tak, pod wycieraczką mercedesa wciąż tkwi strzępek gazety. Wśród śmieci między betonową belką a przednim zderzakiem samochodu błyszczą dwie z rozsypanych wczoraj i niezebranych monet. Podnoszę je z ziemi. Dotykam belki i w tym momencie dociera do mnie waga poczynionej decyzji. Ryzykuję wolnością a może życiem. Życiem? Ale jakim życiem? Życiem zgnuśniałego profesora? Też mi ryzyko. Odsuwam belkę i kładę pod nią kluczyk.

W pół godziny później po niewielkiej przeróbce notatek Kułagina zanoszę je przetłumaczone do recepcji – tam odbierze je Madeleine.

Wczesnym popołudniem w holu hotelu łapie mnie Tierra. Pyta co wiem o profesorze Temple. Mówię: Przecież to autorytet, organizator cyklu naszych konferencji. Tierra mówi że sprawdzają profesora, bo sprawdzają wszystkich. Sprawdzą i Madeleine – dziwi go, że jest ona zarazem sekretarką konferencji i żoną profesora. Pytam o postępy śledztwa. Tierra: Są następne dwa trupy, to biznes narkotykowy, mamy dokumenty Kułagina, ale nie znaleźliśmy tam nic ważnego.

– Jeszcze jedno – czy przyleciał pan tym samym samolotem co Kułagin?

– Nie. Ale, ale, coś sobie przypomniałem – mówię – w niedzielę, w dniu morderstwa widziałem Kułagina pochylającego się nad mercedesem. A mercedes do dzisiaj stoi nieporuszony.

Tierra przygląda mi się podejrzliwie. Podnosi się, idzie w stronę parkingu, podchodzi do mercedesu. Ogląda strzępek papieru pod wycieraczką, próbuje drzwi, patrzy pod koła. Klęka, przesuwając betonową belkę, gmera w śmieciach, coś podnosi. Spogląda w moją stronę.

Później, już w pokoju piszę dużymi literami na kartce papieru: "ROBIN HOOD". Pod tym piszę "DWÓCH SZERYFÓW". Zastanawiam się i drę kartkę na drobne kawałki, które idąc do baru wyrzucam do hotelowych śmietniczek. Napominam siebie, że mam chodzić tak, jak chodzi właściciel świata, jakiś gangster czy polityk.

ŚRODA

Rano telefon od Madeleine – materiały są wydrukowane. Jest wściekła, bo Tierra zablokował ich rozesłanie – ma się to odbyć pod jego okiem. Bo szukają współnika Kułagina, tu wśród nas! Ci idioci, mówi Madeleine. Tierra zmusił ją do biegania z materiałami Kułagina – to wszystko co jej dostarczyłem musiała

mu skopiować.

Wieczorem Fiesta Mexicana. Fiestę obsługuje cały personel hotelu, donajmuje się miejscowych. Fiesta odbywa się na sąsiadującym z plażą dziedzińcu hotelowym okolonym bananowcami i palmami. Dziedziniec domyka wyłożony niebieską ceramiką i podświetlony od dołu basen z wodą pulsującą czystym lazurem. Migocą lampiony, orkiestra Mariachi prezentuje się w ogromnych sombrerach i białych, nabijanych srebrnymi ćwiekami mundurach.

Przy wejściu na fiestę, przy stoliku zastawionym butelkami stoi donajęty na ten wieczór Antonio, ten od czerwonej powłoczki. Wchodzącym serwuje gliniany kubeczek pełen tequili.

– Señor, ten zły detektyw już tu jest – mówi Antonio – o tam.

Tierra ubrany w galowy mundur, z czarno–czerwonymi epoletami, zwisającym z prawego ramienia złotym sznurem i bogato zdobioną, sztywną czapą, stoi nad brzegiem basenu razem z profesorem Temple i z Madeleine. Madeleine paraduje w minispódniczce i tshircie z jakimś napisem, którego z tej odległości odczytać nie potrafię. Kieruję się w ich stronę, ale blokuje mnie ciągnący się w zgiełku trąbek orkiestry Mariachi pulsujący ciąg Congaline. Trzeba uważać bo ciąg/wąż jest alkoholowy. Ogon węża zatacza się niebezpiecznie, ociera się o hibiskusowy żywopłot, prawie że uderza w jeden z bananowców, cudem omija kokosową palmę, w końcu potraça uciekającego kelnera. Po chodniku toczy się gulgocząca tequilą plastikowa butelka.

W końcu staje się to, co stać się musiało. Zemsta. Zemsta rozgniewanej kobiety. Ogon węża dociera tam gdzie stoi Madeleine z profesorem i z detektywem Tierra. Niewielkim ruchem bioder Madeleine wysuwa się naprzeciw nadchodzącego w węzu starszego pana, lekko przez niego popchnięta, tracąc równowagę, chwyta się niespodziewającego się niczego detektywa i razem z nim wpada do basenu. Odruchowo wychylam pełen, trzymany dotąd w ręku kubeczek tequili. Wąż, w jazgocie trąbek

Mariachi i z wciąż dyndającym ogonem, oddala się niewzruszony.

Pięć minut później porządek przy basenie jest przywrócony. Znikł wyłowiony z basenu przy pomocy Antonia detektyw Tierra, znikła pływająca beztrosko jego galowa czapka. Przemoczona t-shirt Madeleine, z dużym czerwonym sercem i napisem "Miłość istnieje" na froncie, wisi teraz na poręczy basenu, a sama Madeleine, wciąż w basenie, jest topless. Patrzy na mnie stojąc z podniesionymi nad czołem rękami, z twarzą okoloną kasztanowymi włosami. Na jej piersiach odznaczają się duże ciemne sutki, biodra obmywa jasno błękitna woda.

– Hermosa – mówi Antonio. A ja czuję się mężczyzną, chcę jej, chcę, żeby była moja.

– Przeziębisz się, kochanie – zauważa profesor Temple.

Osuszona, z ręcznikiem okrywającym piersi, Madeleine jest zadowolona z siebie. Mówi, że ten cholerny Tierra dopadł ją jeszcze przed Fiestą. Trzymał w ręku moje kopie papierów Kułagina:

– Najpierw pytał o Ciebie, mówił o odciskach palców. A potem zapytał się czy wiem co to jest 123 i tak mi się przy tym przypatrywał. Pytał co w notatce Kułagina może znaczyć aero. Powiedziałam mu, że wiem, że jest taka rosyjska linia lotnicza Aeroflotten.

– Tak naprawdę to nazywa się Aerofłot – mówię Madeleine.

– No dobrze, Aerofłot. Leciałam raz tą linią. Dużo brudu. No i jeszcze mu powiedziałam, że lotnisko po rosyjsku to aeroport. Bardzo to go zainteresowało. Co za idiota. Ta kąpiel mu się należała – mówi Madeleine. Patrząc na mnie poprawia tak jakby zsuwający się z biustu ręcznik.

Milczę. Antonio napełnia mój kubek tequilą. Madeleine wciąż patrzy na mnie.

– Miłość istnieje – mówię podnosząc kubek do ust. Profesor

Temple przypatruje mi się ze zdziwieniem. Wskazuję na wiszącą na poręczy moką koszulkę Madeleine.

– Aha – mówi profesor – to stąd.

CZWARTEK

Rano ostatnie posiedzenie konferencji. Czas pożegnań, umawiania się na następne spotkanie wiosną w Australii. Madeleine załatwia wysyłkę zwolnionych przez detektywa materiałów, umawiamy się na australijskie paralatanie. A może umawiamy się na coś więcej?

Przed zamknięciem konferencji Tierra, w świeżo odprasowanym mundurze obwieszcza koniec śledztwa. Jest sam, jeszcze wczoraj detektyw Rodriguez został wezwany do stolicy. Dwaj mordercy Kułagina zostali złapani, sprawa zamknięta – mówi Tierra.

A ja czekam. W wieczornym programie lokalnej telewizji nic. Schodzę do baru – tam też nic, mówią tylko o sporcie, o skrytce nie ma mowy. A przecież Tierra już wczoraj wiedział gdzie szukać. Samolot mam już jutro, w południe. Czy zaryzykować otwarcie mojej skrytki? W nocy budzę się, przewracam się na łóżku. A może zrezygnować? Los zafundował mi ćwiczenie z logiki – zadyndał mi przed nosem marchewką, pokazał kij i powiedział a teraz radź sobie, spróbuj złapać marchewkę tak, aby uniknąć kija. Spróbowałem – wabiąc Tierre kluczykiem oddałem pół marchewki (potencjalnej, bo przecież nie wiem czy w skrytkach coś jest), ale zarazem sugerując, że przyczyną morderstwa Kułagina był ten właśnie kluczyk umożliwiłem zamknięcie sprawy, co powinno oddalić ode mnie kij na dalszy dystans.

PIĄTEK

Po śniadaniu wzmocnionym dwoma wódkami idę na plażę do Antonia, mówię mu, że to koniec mojego paralatania w Puerto. Antonio jest niecodziennie podniecony:

– Señor, aresztowali tego niedobrego detektywa. Na lotnisku. Złapali go z woreczkiem diamentów.

– Diamenty? No tak – myślę – Białoruś jest w unii celnej z Rosją. A więc szacowny profesor Kułagin przemycał diamenty z Kołymy dla narkotykowego gangu. Teraz pierwsza skrytka jest otwarta, Tierra aresztowany, dla policji sprawa powinna wyglądać na ostatecznie rozwiązaną. Mam nadzieję że się nie mylę. Czy coś będzie w tej drugiej skrytce?

Dwie godziny później jestem na lotnisku. Oddaję bagaż i już tylko z podręczną torbą kieruję się do baru, gdzie telewizor nad kontuarem wyświetla lokalne wiadomości. Kamera pokazuje halę lotniska, najeżdża na ścianę skrytek, ześrodkowuje się na skrytce z numerem 123. W drzwiczkach skrytki tkwi mały kluczyk, ten który we wtorek dostał się w lepkie palce detektywa. Jakby przywołany moimi myślami na ekranie telewizora ukazuje się skuty kajdankami detektyw Tierra. W tle stoi uśmiechnięty detektyw Rodriguez – a więc wezwanie do stolicy było tylko trickiem. Uświadamiam sobie, że meksykańska policja jest i kompetentna i skorumpowana.

Zamawiam Bombay martini z trzema oliwkami. Jedna albo trzy oliwki – tak mnie uczono. Ładnie się to układa – myślę – dodaj jeszcze dwójkę jak te dwa kluczyki znalezione pod mercedesem i masz 123. Dodaj kolejną liczbę i masz 1234 – piękna sekwencja. Odrzuć jeden i masz 234. 123 i 234 – takie właśnie były dwie liczby wpisane ołówkiem pod słowem aero w referacie Kułagina; były, zanim moja gumka nie wymazała tej drugiej. Gładzę mały kluczyk w kieszeni marynarki. Powtarzam po cichu obie liczby i myślę, że może jest jakiś transcendentny porządek we wszechświecie. Może numerologia w którą tak wierzy Eliza ma jakiś sens. No nie, nie, bzdury, to zbieg okoliczności.

Już na mnie czas, wychodzę z baru, przystaję przed ścianą skrytek bagażowych, rozglądam się. Tak, jest tak jak sądziłem – są kamery monitoringu – patrzą wprost na mnie.

– Przecież byłem rozsądny – czekałem, byłem gotów jeszcze czekać. Przyznajcie, że nie pokazałem się tutaj, zanim sprawa się nie zakończyła – zwracam się do kamer – a teraz – jestem, ja – Robin Hood.

Wyjmuję kluczyk, otwieram skrytkę 234. Sięgam po niewielką, wielkości aktówki, walizeczkę i niepewny co w niej znajdę odchodzę. Nikt mnie nie zatrzymuje. W pół godziny później pokładu samolotu rzucam ostatnie spojrzenie na Puerto Vallarta. Niestety, nie wszystko jest w porządku – w podanym mi przez stewardessę w ręku coctailu gin and tonic nie ma ani jednej oliwki.

WARSZAWA, DWA MIESIĄCE PÓŹNIEJ

Mam sen. Jestem Robin Hoodem, tym co kpi z szeryfa, co zabiera bogatym i oddaje biednym. Właśnie trzymając w jednym ręku woreczek diamentów, w drugim wypełniony winem bukłak żegluję na paralołtni nad tłumem biednych wołających:

– Diamenty. Chcemy diamenty. Dawaj diamenty, głupi Robin Hoodzie. Albo dolary.

Budzę się. Rozumiem ten bukłak – myślę – muszę odpuścić i z tequilą, i z wódką, i z winem. Te diamenty – no tak, mogło się zdarzyć zupełnie inaczej, przecież mogłem wybrać ten drugi kluczyk i zamiast dolarów schowanych bezpiecznie pod kuchennym zlewem miałbym diamenty. Detektywi? Tierra pewnie siedzi – chociaż w Meksyku to nigdy nie wiadomo. A Madeleine, topless Madeleine? Tylko w tym śnie. Dotykam ciepłego uda Elizy, mojej pięknej Elizy i szepczę sam do siebie:

– All beauties are to be honored, but only one embraced[1].

Eliza odwraca się w moją stronę, przytula się do mnie. Jesteśmy razem.

* * *

Nie pytam już o sens życia. Zmieniłem się. Po prostu żyję.

Jutro jedziemy z Elizą na Białoruś. Jedziemy na rozpoznanie jak przekazać pieniądze żonie Kułagina. Bo w takim kraju jak Białoruś prawie dwieście tysięcy dolarów to nie jest coś, co składa się do banku, albo trzyma się pod materacem.

Ciekawe, ile też procent zwykł odliczać sobie Robin Hood? Bo jakżeżby nie odliczał. Ja swoje odliczyłem. A jeszcze muszę się zastanowić: Czy naprawdę tylko jedną piękność wolno obejmować?

Autorstwo: Andrzej Ołas

Źródło: StudioOpinii.pl

PRZYPIS

[1] W swobodnym tłumaczeniu: Podziwiaj każdą piękność; Obejmuj tylko jedną.